

**FRANCISZEK
MIRANDOLA**

TROPY

Franciszek Mirandola

Tropy

«Public Domain»

Mirandola F.

Tropy / F. Mirandola — «Public Domain»,

Tropy to zbiór opowiadań autorstwa Franciszka Mirandoli, młodopolskiego prozaika, poety i tłumacza. Do zbioru należy dziesięć opowiadań: Zatruta studnia, Ulica Dziwna, Wolność, Cel, Pułapka, Świt, Pociąg nadzwyczajny, Gościniec dusz, Stary dom, Zamknięte. Są to utwory przepełnione oniryzmem, sięgające niemal surrealizmu. Mirandola jawi się jako przedstawiciel nurtu fantastyki grozy, nieco odmienny niż Stefan Grabiński, Antoni Lange czy Roman Jaworski. Język jego prozy jest bardzo poetycki, doskonale współgrający z intrygującym światem fantasmagorii, który przedstawia autor. Mimo powstawania u schyłku Młodej Polski nieobce są wpływy filozoficzne epoki i rozważania traktujące w dużej mierze o kondycji człowieka i ludzkości, nieświadomości i zderzeniu z cywilizacyjnym postępem. Tropy zostały wydane w 1919 roku. Franciszek Mirandola, poza twórczością autorską, przetłumaczył również m.in. Cierpienia młodego Wertera Goethego, Germinal Zoli, a także utwory Verlaine'a, Baudelaire'a czy Mallarmégo.

© Mirandola F.

© Public Domain

Содержание

Zatruta studnia	5
Ulica Dziwna	9
Wolność	14
Cel	18
Pułapka	25
Świt	30
Конец ознакомительного фрагмента.	33

Franciszek Mirandola

Tropy

Zatruta studnia

Łan niezmierny leżał pod żarem słońca. Na puszystym dywanie wybielałego od promieni złota uwijali się żeńce.

Człowiek z wiadrem siedział na cembrowinie studni i spozierał¹ zadumany wokół.

Miał przykaz poić wszystkich spracowanych, gdy pić zapragną.

To był jego urząd. Ochotnie wziął sznur z rąk poprzednika, który odszedł zwolniony ze służby we właściwym czasie.

Silnymi ramionami² pełnił wiadro dobytą z głębi ziemi krystaliczną wodą.

Przychodzili rozradowani, świadomi, że pracują, jak trzeba, i chłodzili czoła na powiewie wiatru, nim usta przytknęli do wody.

Przychodzili też okryci kurzem drogi wędrowcy ze stron widać dalekich, nie będący pracownikami na złocistym łanie. Twarze ich były obce, ubiory nieznane, mowa dziwna.

I tym dawał pić wedle przykazu.

Zgłaszali się też próżniacy, szydzący z pracowników, ciskający im słowa szydercze. Spragnione ich usta pożyły napoju.

I tym dawał wedle przykazu.

Najchętniej nachylał wiadro ku ustom dzieci zgrzanych, spoconych, zmęczonych zbytkami³.

Poił spragnionych, bo ten był cel życia jego. A że myśli jego nie zajmowało w zupełności to zajęcie, przeto pozwalał im krążyć, gdzie chciały.

Zrazu latały wokół ponad łanem i przyglądały się żeńcom.

Byli tam młodzi chłopcy, chyłący się elastycznie ku ziemi, dziewczęta w jasnych strojach roześmiane i zalotne, starzy ludzie osiwiali w pracy, poglądający często ku niebu, kobiety wiekowe w czarnych szatach, szepczące pacierze. Łzy padały gęsto z oczu tych kobiet, a spojrzenia szukały raz po raz mogli, kędyś w łanie życia skrytych.

Byli tam kapłani głoszący nauki pracującym. Podnosili ręce nad pochylonymi głowami, darząc pracowników błogosławieństwem niebiosów⁴.

Nie brakło też kramarzy z pudłami pełnymi tandety i wrzaskliwych skoczków zachęcających do wesołości.

Wróciwszy sponad łanu, myśli usiadły na cembrowinie studni, pytając:

– Gdzie teraz polecimy?

– Lećcie wzdłuż gościńców dalekich, snujących się bezmiarem widnokregu.

Poleciały.

Wzbiły się zrazu w niebo, by obrać kierunek, potem ruszyły każda w inną stronę świata.

Człowiek z wiadrem pełnił tymczasem dalej swą powinność, w duszy miał przy tym wielką ciekawość, co mu też jego myśli przyniosą. Siedział i pracował i tak był zajęty, że nie spostrzegł, iż jedna z myśli nie poleciała wraz z innymi, ale siedziała na cembrowinie niepewna i zakłopotana, strzepując jeno czasem skrzydełkami.

– Czemu zostałaś tutaj? – spytał, spostrzegłszy ją nagle.

¹ *spozierać* (gw.) – patrzeć. [przypis edytorski]

² *ramiony* – daw. forma N.lm; dziś: ramionami. [przypis edytorski]

³ *zbytek* – tu: zabawa. [przypis edytorski]

⁴ *niebiosów* – dziś popr.: niebios. [przypis edytorski]

– Chcę się udać gdzie indziej! – odpowiedziała.

– A dokądże się to chcesz udać?

– Chcę zejść w głąb studni.

– Po co?

– Chcę poznać, skąd płynie woda, chcę przebyć całą drogę źródła i widzieć, gdzie jego początek.

– Więc idź!

– Nie mogę tam zejść gołębiem. Przyzwól mi przemienić się w maleńką rybkę albo pajęczka wodnego, albo kreta, lub inne jakie stworzenie, tak bym mogła zaspokoić me pragnienie.

– Dobrze! – odparł – daję ci moc przybierania postaci, jakich ci będzie potrzeba. Idź i opowiedz, coś widziała.

Znikła, plusnąwszy we wodę, a człowiek z wiadrem pracował dalej, bardziej jeszcze niż przedtem ciekawy na to, co mu jego myśli przyniosą, i spoglądał często w dal, ku skrajowi widnokregu.

Gdy tak patrzył, ujrzał nagle daleko na równi jakąś postać idącą w jego stronę.

Nieznajomy był biało odziany i połyskiwał na tle zieleni jak obłok srebrzystego oparu.

Ale obowiązek nie pozwolił Człowiekowi z wiadrem wpatrywać się długo w oddal. Zgłaszali się ludzie, których musiał napić.

Pracował wytrwale. Wszyscy jednak, którym przychyłał wiadra, wydali mu się teraz mniej piękni, mniej godni. Dostrzegał brud ich rąk i twarzy, rzucały mu się w oczy ślady wyuzdania w ich rysach, w podkrążonych oczach widział szal cielesny, w drzeniu rąk skutek nałogów brzydkich. Młodzieńcy wydali mu się łakomymi samcami, ludźmi żądnymi uciech, dziewczęta rozpustnicami. Starcy wyglądali na skąpców i bezmyślne ruiny, wiekowe kobiety na pozbawione czucia i pobożności dewotki, kapłani nawet przedstawiali mu się teraz bez wiary, bez zdolności do uniesień... świat mu cały zbrzydł i szerniał w oczach.

Pragnął, by nastąpiła chwila spokojna, kiedy będzie mógł zobaczyć, co się stało z dziwnym nieznajomym.

Gdy napił ostatniego, postawił puste wiadro na cembrowinie, wstał i przysłoniwszy oczy ręką, zapuścił spojrzenie w dal.

– Bądź pozdrowiony!

Głos jakiś rozebrzmiał tuż obok.

Spojrzał zdumiony i zobaczył, że nieznajomy siedzi na wielkim kamieniu przy studni.

Skłonił się przed nim głęboko. Potem ujął silnymi ramionami linę i wyciągnął świeżej wody.

Pochylił wiadro ku jego ustom.

Nieznajomy uczynił gest odmowny.

– Nie piję tej wody – powiedział.

Człowiek z wiadrem stał zadziwiony i patrzył na przybysza, a im dłużej patrzył, tym bardziej rosło jego zdumienie.

Szata nieznajomego biała była i połyskiwała jak srebro, mimo dalekiej wędrówki czysta, niepokalana. Spadała z jego ramion w precyzyjnych fałdach, niepodobna zgoła do ubiorów ludzi współczesnych. Ni rąbek jej dolny nawet nie nosił śladu pyłu lub błota, iż wydawało się, że nieznajomy nie dotyka stopami ziemi, ale unosi się ponad nią, jak anioł.

Kapelusz złożył na trawie.

Twarz jego okalały długie, ciemne włosy, spadające w kędziorach na ramiona.

A twarz sama...

Człowiek z wiadrem wpatrywał się w tę twarz długo. Zrazu zgoła nieznana, coraz mu się wydawała bliższą, bardziej pamiętną, podobniejszą do twarzy zapamiętanych kiedyś...

– Znasz mnie? – spytał nieznajomy.

– Nie wiem... coś sobie przypominam.. – odparł z wahaniem. Potem dodał: – Wyglądasz, panie, jak ktoś znany mi...

– My wszyscy mamy podobne rysy... wszyscy...

– Któż to wy jesteście? – spytał.

– My wszyscy, niepijący tej wody! – odpowiedział przybysz.

W tej chwili szum się rozległ w powietrzu nad głowami rozmawiających.

Człowiek z wiadrem spojrzał w górę i zobaczył stadko gołębi.

Były to jego myśli, które wróciły z drogi.

Sfrunęły na dół i przypadły do kolan nieznajomego, tuląc się doń miłośnie.

Brał je łaskawie po kolei i przyciskał do piersi.

Od dotknięcia jego rąk i szaty stawały się srebrzyste i piękne.

Gołębie opowiadały, co widziały.

Jak daleko sięgnąć mogły wzrokiem, wszędy na całym świecie pracowali ludzie. Ścinali lasy, karczowali poręby, drążyli się w głąb ziemi, szukając kopalin użytecznych, inni zaś, pozornie nic nie czyniąc, wyteżali myśl nad sprawami świata, albo znów dumali o tym, żali w zaświatach, w przepastnych głębiach przestrzeni, znajdują się twory podobne ludziom, stworzone na ich podobieństwo. Znów inni zatapiali się w pytaniach o początku i sensie świata, byli zaś i tacy, którym ponad wszystko stało prawić, jak to żyć trzeba poczciwie i zgodnie z wolą bożą.

Wszędy zaś, przy każdej gromadzie siedział zawsze Człowiek z wiadrem i poił spragnionych wodą dobytą z głębi ziemi, wspólnej rodzicielki wszystkich.

Gdy to mówiły gołębie, zjawili się u studni ludzie, pić żądający.

Człowiek z wiadrem wstawał niechętnie i napełniał ich, a oni odeszli.

Ale zbrakło wody dla ostatniego.

Człowiek z wiadrem musiał znowu napracować się niemało, nim naciągnął wody.

Gdy wiadro stanęło na cembrowinie, nagle plusnęło coś i wyskoczyła na trawę maleńka, złocista rybka.

Poderwała się raz jeszcze w górę i przemieniła nagle w skrzydlatego gołębia, który usiadł na cembrowinie studni.

Gołąb był zadyszany i drżał ze zmęczenia czy strachu.

– Opowiadaj! – ozwał się nieznajomy. Człowiek z wiadrem pochylił się ku niemu i szepnął:

– Panie... może lepiej będzie poczekać, aż ten oto nasyci się i odejdzie.

– On nie zrozumie... – odparł nieznajomy. – On nawet nie widzi mnie, ni tego gołębia, ani słów, jakie zamieniamy, nie pochwyci. Nie znasz, widzę, ludzi...

– O panie! – zaczął gołąb. – Przybierałem różne postaci i dotarłem wszędy⁵, gdzie dotrzeć może myśl człowieka. Posuwałem się pod bieg⁶ wody, zaglądając wszędy, skąd się sączy choćby jedna kropla. Przy samej studni toruje sobie drogę źródło przez wielki, stary grobowiec, opłukując kości poległych w jakichś dawnych zapasach, powyż⁷ jest złożo zbroi zardzewiałych, kopii i mieczów starożytnych. Widziałem, jak krew ludzka miesza⁸ się z wodą, jak w nią wsiąkają ostatnie westchnienia konających, ich klątwy i ból. Płynie poprzez zaciśnięte pięści i zakamieniałe serce, opłukuje czarne zgliszcza popalonych wsi i miast, napawa się słonymi łzami sierot i wdów. Przez całą drogę nie spotkałem najmniejszej przestrzeni, gdzie by źródło płynęło przez nietknięte niedolą ludzką pokłady. Czy starsze, czy młodsze mijałem warstwy, wszędy widziałem, jak woda zabiera i unosi z sobą ślady bólu i grzechu, jak się pełni⁹ trucizną okropną, trupim zakaża się jadem.

⁵ wszędy – wszędzie. [przypis edytorski]

⁶ pod bieg – pod prąd. [przypis edytorski]

⁷ powyż – dziś popr.: powyżej. [przypis edytorski]

⁸ mieszać (daw.) – dziś popr.: mieszać. [przypis edytorski]

⁹ pełnić się – napełniać się. [przypis edytorski]

Granitowych chyba starych skał dawnych epok sięgnąć by musiało źródło, by dotrzeć do czystych, nieskalanych miejsc, pozostałych z czasów, kiedy nie było człowieka na ziemi.

Ale stamtąd nie biją źródła.

Nieprawdą jest, że woda czyści się, ciekąc przez ziemię. Krystaliczność jej to pozór tylko. Żadna nauka nie wykryje składników, jakie zawiera. Czyż można to zbadać?

O, zaprawdę teraz wiem dobrze, że ludzie stąpają po zmarłych, karmią się ich ciałem i piją ich ból i ich grzech.

I dlatego są, czym są.

Gołąb zamilkł, a Człowiek z wiadrem obrócił wzrok na nieznanego.

Siedział zamyślony.

Nagle stuknęło coś.

Obejrzeni się obaj.

Spragniony objął ciężkie naczynie i przyłożył usta do jego brzegu.

Człowiek z wiadrem rzucił się ku niemu, chcąc mu wzbronić napoju.

– Niech pije... niech pije! – powiedział nieznanomy i dodał: – Czyń, co ci zostało przykazane.

– Jakoż to będę mógł teraz czynić, o panie? – jęknął boleśnie Człowiek z wiadrem. – Jakoż to będę mógł teraz czynić?

– Będiesz mógł czynić przez cały czas, jaki ci został przeznaczony, jeśli zaprzestaniesz gołębie wypuszczać swobodnie, gdzie im się latać spodoba.

Wstał z kamienia, skinął mu przyjaźnie głową i odszedł z wolna.

Za chwilę majaczył już tylko jak opar srebrzysty na bezkresnej, szafirowej dali.

Ulica Dziwna

Po wąskich, krętych, lichy oświetlonych schodach wydostał się na trzecie piętro starego, zamieszkałego przez biedaków domu i otworzył drzwi wielkim, niezdatnym kluczem.

Był zmęczony długą służbą w biurze telegraficznym. Ile razy wracał do siebie, tętniło mu w głowie, stukało najniemożliwsze¹⁰ rzeczy. Dopiero po dwu szklankach herbaty z rumem wyjaśniała mu się duchowa sytuacja, ale i ona nie była najlepsza. Widział przed sobą nieskończenie długie lata pracy beznadziejnej, jednostajnej, męczącej i głupiej.

Zaświecił małą, krzywą lampkę, przysłoniętą papierową umbrą, wdzianą na szczątki właściwej szklanej umbry, która przed latami już utraciła blisko połowę swej peryferii.

Pokój, a raczej pokoik i kuchnia, wydzielone z większego mieszkania, zajmowanego przez jakieś dziwne nabożeństwo damy, był brudny, zaniedbany i wyglądał bardzo nieprzyjemnie. Ale polubił je z biegiem czasu, jak człowiek ostatecznie polubić musi każdą rzecz, z którą obcuje ciągle. Więźniowie przywiązują się do swej celi równie dobrze jak bogacz do wspaniałego gabinetu... bardziej może, bo ciasnotę wypełniają myśli i sny... jedyne dobro człowieka biednego. Śni się i zdaje się, że tyle... jeszcze tyle przed nami.

Zapalił maszynkę naftową i poszedł do kuchni po wodę. Wyciągnął rękę, chcąc odkręcić kurek, gdy nagle zatrzymał się.

Z dzioba wodociągu spadały krople. Machinalnie wsłuchał się w ten szybki rytm nieregularnie kapiącej wody.

Czytał pośpiesznie:

– Ulica Dziwna liczba 36... ulica Dziwna...

Zimny dreszcz go przeszedł. Potem szybko przebiegł myślą adresy dzisiejszych depesz.

Nie, takiego nie było. Ulica Dziwna...

Czyż była taka ulica w mieście?

Słuchał dalej:

– Ulica Dziwna liczba 36... ulica Dziwna liczba 36... – wypukiwały krople.

Otrząsnął się i czyniąc wielki wysiłek, odkręcił z impetem kurek. Woda rzuciła się w muszlę, opryskując go tak, że się musiał cofnąć. Z pełnym saganem wrócił do pokoju i postawił go na maszynce. Potem zwrócił się ku patyczkowej półce, gdzie się mieściły różne graty i parę książek, wziął flaszkę, nalał kieliszek rumu i wychylił go duszkiem. Uczyniło mu się ciepło, po chwili zaś raźnie i wesoło.

Siedział na łóżku i patrzył w niebieski płomień nafty, obejmujący naczynie zakopcone, podrapane, biedne jak wszystko naokół.

Zawisł oczyma na półce, gdzie były książki, ale odwrócił po chwili głowę.

– Ulica Dziwna – przemknęła mu przez myśl. – Gdzież to może być?

Uczuł, jakby wstępował na jakiś zgoła odmienny poziom odczucia, spostrzegł się na chwilę na innej płaszczyźnie świadomości, otoczyły go dziwne zjawy, nieznanne. Ale po chwili otrząsnął z siebie to przywidzenie.

– Głupstwo! – rzekł do siebie głośno. – Oto skutki tego mego idiotycznego zawodu.

I zatroskał się, co się z nim stanie za rok, za dwa, dziesięć...

– Oszałeję... na pewno oszałeję! – powiedział znów głośno. Potem wstał i udał się do kuchni...

Nie zdawał sobie sprawy, po co tam idzie. U drzwi przystanął i wyczuł słuch.

Z wodociągu padały w muszlę krople wody.

– Psiamać – rzekł znowu.

Zawrócił szybko, ale nim doszedł do łóżka, stanął, namyślił się i po chwili był już w kuchni.

¹⁰ najniemożliwszy – dziś popr.: najbardziej niemożliwy. [przypis edytorski]

Staął u drzwi.

– Ulica Dziwna, liczba 36... ulica Dziwna liczba 36...

Tak nie ulegało wątpliwości, woda wydzwaniała te słowa.

Szybko podbiegł do wodociągu i zakręcił kurek, jak mógł najsilniej.

Krople przestały padać...

Odetchnął. Czekał jednak jeszcze, niepewny, co będzie. Cisza była zupełna, z dołu tylko od podwórza dobiegał pogłos przyciszonej rozmowy i gdzieś pod nim kwiliło niemowlę.

Wrócił do pokoju zupełnie uspokojony. Podniósł nakrywkę sagana. Kłęb pary rzucił się w górę. Nasypał do imbryka herbaty i czekał. Rozległ się dzwonek.

– Tośka! – powiedział do siebie. – Dobrze!

Był zadowolony, że nie pozostanie dzisiaj sam w mieszkaniu.

– Serwus! – przywitała go wesoło, objęła za szyję i pocałowała w same usta.

Potem rzuciła na łóżko kapelusz i okrycie.

– Co słychać? – pytała – Cóżes taki jakiś osowiasty? No, gadaj! Możeś sobie wczoraj dał na piec... ej, ty paskudny człowieku!

– Nie, nie... – bronił się. – Jestem przemęczony, piekielnie przemęczony, a o urlopie mowy nawet nie ma. Zróbże herbaty!

– Gdzież to idziesz? – spytała, widząc, że wychodzi z pokoju.

– Nigdzie! Zobaczą tylko...

Wszedł do kuchni... i zdumiał się, a nawet przeraził.

Z wodociągu kapały krople. Nie wysiłał się już nawet, by słuchać, wiedział, co będzie.

– Ulica Dziwna liczba 36... ulica Dziwna...

Wrócił i stanął przy stole, który Tośka już trochę zdołała uporządkować.

– Przyniosłam coś dobrego! – szczebiotała. – Zgadnij co... no zgadnij!

Nie odpowiadał, aż spojrzała zdumiona.

– Jezus Maria! Jakiś ty blady! – krzyknęła. – Co ci się stało? Powiedz! Może byś się położył... tak, tak... kładź się zaraz! Wypijesz herbatę w łóżku. Popatrz no, co przyniosłam... jaka śliczna mieszanina... prawda?

Patrzyła mu przymilnie w oczy, uśmiechała się.

– Od paru dni jesteś blady! Czy cię co boli?

Zaprzeczył ruchem głowy.

– Chodź no ze mną! – powiedział poważnie.

Zdziwiła się, ale posłusznie poszła do kuchni.

– Słuchaj! I powiedz mi, co słyszysz! – rzekł tajemniczo.

Przeraziła się na dobre.

– Co ci jest Franek! Boże drogi... co ci jest?

– Pst! – wyszeptał, kładąc palec na ustach. – Słuchaj pilnie!

Słuchała, szeroko otwarte oczy wlepiwszy w jego twarz.

– Nie słyszę nic! – odparła po chwili. – Ktoś rozmawia na podwórzu, płacze dziecko i kapie woda...

– Otóż to właśnie... – szepnął – woda... ale co kapie: słuchaj!

– Boże drogi... czy ja wiem? Prawda... to trochę podobne do telegrafu... tak, coś stuka... ale nie wiem co... wszak nie umiem telegrafować. Puk... puk puk... puk... puk puk... i tyle. Mój drogi, wszakże to czyste dzieciństwo! Niechże sobie kapie. Sam wiesz dobrze, że to dzieciństwo... jesteś zmęczony i na tym koniec... Chodź, kładź się!

Pociągnęła go w stronę łóżka.

– Rozbieraj mi się zaraz! – powiedziała stanowczym tonem.

– Ale cóż znowu... – bronił się. – Wszakże dopiero ósma, ledwo się na dobre ściemniło.

– Rozbieraj się... jesteś chory...

– Nie, nie, wypijemy herbatę, a potem zobaczą. Nie jestem zresztą chory, głowa mnie tylko trochę boli. Dajże spokój... przyznaję, że mi się czasem trochę kręci w mózgu, gdy wrócę z biura. To straszny zawód, Tośka, powiadam ci... straszny zawód.

Krzątała się wkoło stołu zadowolona, że mówi rozsądnie.

– Masz sobie! – zawołała nagle. – Zabrakło cukru... Czekaj, skoczę do sklepika na rogu.

– Pozwól... ja pójdę! – rzekł pospiesznie. Wziął kapelusz, zarzucił na ramiona okrycie i wyszedł.

Przechodząc przez kuchnię, zamknął oczy, by nie widzieć przekłętego wodociągu. Ale uszu zatkać nie mógł, posłyszał przeto owo wstrętne, głupie kapanie, które brał za jakąś dziwną depeszę.

– Ulica Dziwna liczba 36... ulica Dziwna... liczba 36...

Goniło za nim, gdy szybko zstępował na dół.

Poszukał oczyma policjanta. Ujrzał go na końcu ulicy stojącego na przeciwnym trotuarze. Przed sklepikiem zawahał się, sięgnął do kieszeni, zwolnił kroku. Ale po chwili, party jakimś przymusem, minął drzwi sklepika i ruszył spiesznie przed siebie. By przystąpić do żołnierza, musiał przejść w poprzek ulicę. Nie namyślając się, wstał wbrew swojemu przyzwyczajeniu, w błoto. Doznał tylko na sekundę niemiłego wrażenia, jakby zdziwienia, że oto robi coś zgoła głupiego, ale brnął dalej.

– Proszę pana – rzekł, uchylając kapelusza – gdzie to jest ulica Dziwna... Zna pan tę ulicę?

Policjant spojrział nań z góry. Obserwował go przez długą chwilę, potem obrócił się na pięcie i odszedł wolnym krokiem. Był widocznie obrażony.

Odetchnął głęboko. Gdyby wypadło, byłby ucałował stróża bezpieczeństwa publicznego. Więc wszystko to jest zwyczajnym głupstwem, pomyślał.

Zawrócił i zaczął szybko iść w kierunku sklepika, gdzie się jeszcze świeciło.

W sklepiku było trochę ciasno. Stał przy ladzie obok jakiegoś starszego jegomości, który widocznie nie był całkiem trzeźwy. Cuchnęło odeń silnie. Z trudem szukał pieniędzy w kieszeni spodni i liczył potem mozolnie.

Coś go tchnęło i spytał po cichu:

– Proszę pana... czy zna pan ulicę Dziwną?

Jegomość liczył dalej pieniądze, nie dosłyszał pytania. Wreszcie otrzymał swój pakiet, ale nie wychodził. Znalezli się razem na ulicy.

– Młodzieńcze – spytał jegomość – jak się nazywasz?

– Franciszek Szary! – odparł zdumiony.

– A ja Jan Bylejaki! Tak się teraz nazywam, od kiedy chadzam na ulicę Dziwną...

– Gdzież ta ulica?

– Chciałbyś wiedzieć? Co?

– Chciałbym.

– A masz dużo do stracenia? Ile?

– Pieniądzy... pieniędzy... pieniędzy niewiele... – bąkał.

– Nie pieniędzy! Ale czy masz dużo do stracenia w życiu?

– W życiu... nic... prawie nic...

– No to dobrze! Chodźmy...

Zrobiło mu się jakoś dziwnie. Nie miał zaufania. Wolałby iść sam.

– Czeka na mnie ktoś...

– Kobieta?

Milczał.

– Pluń na to, powiadam ci! Pluń! Chodźmy. Ale mówię ci z góry: stamtąd powrotu nie ma. To wiedz wprzód. Ciałem wrócisz, duszą nigdy! Nigdy!

Szarym wstrząsnął dreszcz. Ten człowiek nie był pijany. Wyrwał ramię, które tamten ujął po przyjacielsku.

- Nie. Nie pójdę. Proszę mi tylko powiedzieć, gdzie to jest.
- Wszędzie i nigdzie.
- Nie rozumiem.
- Wiem to. Teraz powiedz mi, skąd wiesz o tej ulicy.
- Nie mogę powiedzieć!
- No to już dobrze! – zaśmiał się stary. – Nie powiedział ci tego, przypuszczam, żaden porządny człowiek.
- Nie, to mi się tak przywidziało.
- Wybornie! Wyśmienicie! – radował się Jan Bylejaki. – Jednemu się to przyśni, drugiemu się zjawi na jawie w danym momencie. Wybornie. Powiadam ci: chodźmy!
- Wzbraniał się.
- Niech mi pan powie, gdzie to jest i co tam jest. Pójdę sam.
- Tego nie ma nigdzie! Rozumiesz? Tak jak nie ma nigdzie szczęścia ani miłości, ani dobroci, ani jasnowidzenia. Ale to jest wszędzie, bo nastąpić może jak tamto wszystko, w tej chwili i za sekundę możesz stanąć na ulicy Dziwnej, która wiedzie poprzez życie. Ulicą Prosta, Dostojną, Senatorską chodzą tak zwani ludzie porządni, my zaś chadzamy ulicą Dziwną, Przepastną, Zaświatową.
- A jednak chciał mnie pan gdzieś prowadzić...
- Gdzie? Do siebie, do mego mieszkania. Chciałem cię uczynić swoim uczniem.
- Tyle tylko... – odrzekł rozczarowany. – A jednak ja wiem, że jest to gdzieś... przy ulicy Dziwnej, liczba 36.
- To numer domu, w którym mieszkam.
- Dziwne! Dziwne! – szeptał Franciszek Szary. – Skąd mi się to mogło przywidzieć?
- Nie pytaj, to za trudne pytanie na dziś. Kiedyś sam sobie na nie odpowiesz. Chodź, powiadam ci. Zostaniesz moim uczniem.
- I cóż z tego?
- Czuję, że jesteś powołany... Wskażę ci drożynę, którą się wychodzi poza lany uprawne życia na cudne, wolne, boże bezdroża...
- I cóż tam znajdę?
- Wolność i mądrość. Zachwyty, jakich nie pomieści pierś ludzka, miłość, która by cię dziś zamieniła w garstkę popiołu. Wyszkolę twe serce, by stać się kiedyś mogło czarą pełną niebiańskiego nektaru.
- Słuchał zdziwiony, przerażony.
- Przyjdę jutro... – rzekł wymijająco.
- Nie przyjdiesz nigdy, jeśli nie przyjdiesz dziś. Chodź ze mną.
- Franciszek Szary wyrwał ponownie ramię, szarpnął się w tył i powiedział stanowczo:
- Przyjdę jutro!
- Nie ma jutra, jest tylko dziś... Znalazłeś skarb, a chcesz go podnieść jutro dlatego, że dziś masz zbierać łachmany? Pomyśl tylko... pomyśl!
- Franciszek Szary zdjął kapelusz, czując zimny pot na czole. Drżał nerwowo.
- Proszę pana o adres! Zaręczam, że przyjdę jutro wieczór i rad będę posłuchać pana. Dziś doprawdy nie mogę!
- Nie możesz... – zaśmiał się cicho – Ach! Wiedziałem o tym, że nie możesz. Tylu was już było. Żaden nie mógł, każdy musiał spełnić jakiś obowiązek... właśnie w tej chwili... przy ulicy Pańskiej, czy Oczywiściej, czy Pięknej... Dobrze... idź, idź...
- Daj mi pan adres! – prosił.
- Adres? Znasz go przecież...
- Nie znam! Daj mi pan adres dokładny...
- Jegomość odwrócił się i poszedł bez słowa. Franciszek Szary patrzył za nim z głębokim żalem.

Nagle zadrżał. Stary uszedłszy kilka kroków, znikł nagle, jakby się zapadł w mrok.

Strach nagły zatrzęsł patrzącym. Przetarł oczy i spojrział wokoło.

Spostrzegł, że stoi w sklepiku oparty o ścianę. Właścicielka patrzyła nań ze współczuciem.

– Słabo się panu zrobiło?

Nie odparł nic. Zapłacił, wziął swój pakunek i szybko pobiegł do domu.

W susach dostał się do swego mieszkania, szarpnął drzwi i stanął jak wryty.

Nadśluł z wyteżoną uwagą, nie spuszczać z oka wodociągu.

Ni kropla nie padła w muszlę.

Zatrzęsł nim straszny, niepohamowany żal. Wpadł do pokoju i zwracając się do Tośki, wrzasnął, aż szyby w oknach zabrzękły¹¹.

– Precz!

Wskazywał drzwi, stał blady, zęby mu szczękały.

– Zwariowałaś? – spytała przerażona.

– Precz! – powtórzył i tupnął nogą. Zaczęła zbierać części ubrania, blada, smutna, obrażona do głębi duszy, a piersiami jej wstrząsał jęk okropny.

On zaś czując, że się nogi pod nim uginają, padł na łóżko i wybuchnął strasznym płaczem.

– Franek! Franek! – zawołała przez łyzy. Objęła go za szyję i płakała razem z nim.

¹¹ *zabrzękły* – dziś popr.: *zabrzęczały*. [przypis edytorski]

Wolność

Niewysłowiona nim owładnęła radość.

Powód?

Równie nieznany, jak w gruncie rzeczy nieznanne jest wszystko.

Przecież to takie proste. Budzisz się pewnego ranka... i wyciągasz ręce do świata, by go objąć, by go ucałować.

Zazwyczaj w sekundę potem dostajesz prztyczka w nos.

Na przykład... Zresztą i na cóż przykładów...

Ale są takie dni, kiedy prztyczków owych nie czujesz... po prostu rozśmieszają cię one tylko... ot całkiem jakby ich celem był nos twego np. krawca.

I cóż dziwnego, że się w dniu takim radujesz?

Pomieszana tu, jak widać, przyczyna ze skutkiem i nie wiadomo już... co było na początku.

Dość, że rozpierała go po prostu radość.

Chciał pocałować świat.

Zbudził się tego ranka w bajecznym kraju swobody.

Wszystko, co go otaczało, było piękne i nowe.

Pokój wielki, widny, świeżo malowany, wokoło ogrody...

Ignoruję was!

Tak napisał na lamusie pełnym wczorajszych trosk i o dziwo... troski one, wspomnienia, żale i niemiłe obrazki z dni minionych... przepadły.

Przyszła fala radości i zmyła wszystko do żywej skały. Nie zostało nic... prócz miejsca na rzeczy nowe.

To były jakieś, *sit venia verbo*¹², miodowe sekundy, jakieś momenty małżeństwa tajemniczego z nową formą zewnętrzną, w jakiej się ukazał świat... ten stary, a tak wyśmienicie zawsze ucharakteryzowany komediant.

Szukał formy wypowiedzenia się i latał po pokoju. Nie biegał, nie! Latał. Dotykał jeno ziemi, ale tak sobie z grzeczności, niepotrzebnie... Właściwie latał... nie chciało mu się tylko tak znów całkiem dokładnie machać skrzydłami...

Oczywiście, Oczywiście! Przytakiwał zgłaszającej się do życia formie. Wybierał. Ale nie uznał żadnej.

Zdawało się, że wreszcie uwieńczy najstarszą z nich.

Kołysały nim rytmy, bajecznie te same, a cudne jakieś, nieznanne... i znów... oklepane... ach! jakże oklepane!...

Złapał się za głowę, omal że nie począł śpiewać.

A wracały ciągle. Ile razy wyjrzał przez okno, ile razy zachwyił w oczy tego słonecznego, złotego blasku, którym tam na świecie przepojone było wszystko, tyle razy czuł, że na nowo rozpoczynają nim kołysać rytmy cudne jakieś, a znane dobrze, choć znowu pełne nowej, przedziwnej, niewypitej treści, choć tę samą czarę tyle razy miał przy wargach...

Stanął na chwilę. Potem, jakby się namyślił, usiadł przy stole i na ćwiartce listowego papieru począł pisać:

Moja jedyna!

Ale tylko tyle był w stanie nakreślić. Powinien zaś był nierównie więcej i to od dawna już...

Cała ta ogromna radość miała być... tak się wydawało przez chwilę, powierzona tej ćwiartce papieru *tant bien, que mal*¹³... i iść kędyś, daleko, cieszyć drugą duszę.

¹² *sit venia verbo* (łac.) – jeśli się tak wolno wyrazić; jeśli tak można powiedzieć. [przypis edytorski]

¹³ *tant bien, que mal* (fr.) – mniej więcej; jakoś; tak czy siak. [przypis edytorski]

Ale o ileż łatwiej byłoby list taki malować, niż pisać: pokój jasny, czysty, ściany pięknym kryte deseniem, a pod oknami czuby kwitnących czeremch. To przede wszystkim. Dalej zaś, po obu stronach niedawno dopiero wyciętej ulicy... ogrody, wielkie, zapuszczone od niepamiętnych widno¹⁴ czasów, ogrody. Pozłoczone były kopuły widnych w dali kościołów, a także i kołki w rozwalonym do połowy płocie, co koślawo, niezdarnie biegł pomiędzy parcelami. Wypolerowane były wszystkie klamki u drzwi, wyczyszczone szyby domów, obmyte tramwaje skrzypliwe, dorożki rozklekotane, konie, psy, ludzie, a wszystko przysłaniała przecudna, nie do określenia przeźroczysta mgła. Czuleś czystość samej nawet kałuży błota... krystaliczną dostojność brylantowej powierzchni z odbiciem cudów nieba i ziemi. Co tam... gdzieś, w głębi... o tym DZIŚ i mowy nie ma. Owo DZIŚ takie wydało rozporządzenie, takie hasło. Idzie dziad kościelny. Szara, czerwonym krzyżem znaczone opończa błyszczy na słońcu, podobnie jak i brudne koszulki dwojga dzieci, co czerpią skorupkami wodę rynsztoka, starając się napęlić nią stary, słomiany kapelusz. Szkoda, że nie widać karawanu. Jakież byłby dzisiaj? Zapewne purpurowy, ognisty, słońcem na kolor radości malowany... A posuwałby się szybko raźnie, niefrasobliwie. Oto oddaje ziemi cząstkę WCZORAJ, po to, by się zjawić mogło DZIŚ...

I jakże to wszystko napisać?

Więc tylko chyba zaśpiewać czy zagrać na skrzypcach... A może najlepiej otworzyć jedno okno i powiedzieć:

Patrz!

Opisywać znaczy podawać powody, tłumaczyć, objaśniać, często też zaciemniać, by ukryć, ale zawsze powody... te powody...

No a jakże tu podać powody, czemu się weszło do drugiego pokoju, jasno oświetconego słońcem...

Stało się.

Począł szybko pisać:

„Moja jedyna... Nie wiem, co się stało, ale choć ciebie tu nie ma, choć losy nasze nie najjaśniejsze, rad jestem z czegoś strasznie”...

Nagle zrozumiał, że jest to niemożliwe.

O, jakże się trudno porozumieć ludziom. Za każdym słowem, tylekroć sprofanowanym, utarzanym w błocie podejrzeń... uzasadnionych... tyle się mieści stworów skrytych, pokracznych, pełnych drwin.

Oto ona pomyśleć może:

„Spotkał pewnie dawno niewidzianą kochankę”.

Albo:

„Nie jestem mu widać niczym, kiedy wiedząc, jak jestem smutna, jak samotna...”

Albo, w najlepszym razie, nie rozumie wcale.

I słusznie, bo skądże by...

Rzucił pióro i podszedł do okna.

Powiódł okiem z wysoka po świecie w krąg i pomyślał:

Wszystko to jest królestwo moje.

Uczuł się władnym mocarzem, który by¹⁵ orzeł siedzi na wysokiej turni, w zamczysku i mruży oczy, bo wie, że oto dziś nikt nie ruszy jego włości.

Nadchodziły z wolna różne myśli, ale jednej nade wszystko rad był.

To jest Wolność!

¹⁴ *widno* – tu: widocznie, najwyraźniej. [przypis edytorski]

¹⁵ *by* – tu: niby; tak jak. [przypis edytorski]

Tak mu się przedstawiła wolność, a dusza radosna uciekła z ciała, siadła by¹⁶ ptak na kwitnącej czeremsze i dziwiła się osłupiałemu: „Cóż to za gamoń tam stoi w oknie z otwartą gębą”.

Nieprawdopodobnie dobrze!

I dlatego... dlatego ani listu, ani...

W odległej, ledwo co wyznaczonej ulicy przechodnie nie bywali częstym zjawiskiem; toteż stojąc w oknie, zauważył zaraz człowieka wlokącego się kędyś widocznie bez celu. Modny płaszcz wisiał luźno na wyschłym jego ciele, pomięty kapelusz chwiał się na głowie, tak nisko na piersi opuszczonej, że twarzy wcale widać nie było.

Szedł człowiek ów, a patrzącemu wydało się, że suną za nim wielkim korowodem zjawy rozliczne.

Skradały się popod¹⁷ parkany chytre pomysły niskich wybiegów, posuwiste a przygięte do ziemi, jakby zawsze gotowe do skoku szły ambicje, środkiem zaś ulicy, zataczając się z lekka, toczyły się krągłe, tuczne jak wieprze, uciechy towarzyskie i inne. Wyprzedzał jednak wszystkich, sparty¹⁸ na krzywym parasolu poważny, stary, w połamany cylinder przybrany orangutan z wielką, ciężką księgą pod pachą.

A z dziur w chodniku, z otworów suteryn wypełzły różne inne gady i węże i z sykiem roiły się pod nogami idącego lub wiły spiralnymi skręty¹⁹ w powietrzu.

Od czasu do czasu smutny człowiek przystawał, jakby niepewny drogi i ruszał po chwili dalej na oślep, byle ująć napastowania potworów, obskakujących go, ledwo się zatrzymał.

Patrzący z okna poznał znajomego i głośno niemal zawołał:

Tak wygląda szczęśliwiec!

Tak wygląda, gdy nań nikt nie patrzy... w odległej ulicy. Nie zastanawiając się, co robi, wychylił się całym ciałem za okno, osłonił usta dłonią i już miał zawołać, gdy nagle przypomniał sobie swą turń-zamczysko, tę samotnię swoją, tę ciszę, to ogarnianie z wysoka królestwa... Ach, w cóż by się zmieniły i słoneczna radość, i pustka po zapomnianych grzechach wczorajszych...

Skrył się.

Ogarniony strachem, wspomniawszy, iż tamten może rozgląda się i szuka pomocy, że mógł go dojrzeć w chwili owego nierozsądnego wychylenia... przywarł z boku do ramy okiennej i czekał, modląc się, by bez skutku pozostał jego poprzedni, nierozważny uczynek.

Wszystko mieć musi jakiś skutek i wszystko jest skutkiem – myślał.

Dobrze, dobrze, byle nie to... byle nie to...

No i jakoś... jakoś minęło...

Znajomy poszedł dalej, zabierając swoją menażerię. Ostrożnie wychyliwszy głowę, obserwował to król zamczyska... No i jakoś minęło... Dziwny, dziwny dzień.

Uczucie wdzięczności nim owładnęło, uczucie, które zwykle pożąda się przejawić w czynie.

Jakiś piękny tedy... ale piękny czyn.

Do pracy, do pracy!

Tak. Trzeba się okazać godnym łaski otrzymanej niespodziewanie, uzyskanego nowego życia.

A praca ta, musi to być coś całkiem nowego, przepojona być winna uczuciem, z którego wzięła życie.

Ewangelia radości.

Musi to być. Tak. Nie inaczej.

I znowu zakołysały nim rytmy dawne, odwieczne, nowe, nieznanne, zgoła niepoznawalne.

¹⁶ *by* – tu: niby; tak jak. [przypis edytorski]

¹⁷ *popod* (daw.) – pod. [przypis edytorski]

¹⁸ *sparty* – dziś: wsparty. [przypis edytorski]

¹⁹ *spiralnymi skrętami* – dziś popr. N.lm: spiralnymi skrętami. [przypis edytorski]

Jednym ruchem skrzydeł wzbił się wysoko i z tych wyżyn spoglądając na opuszczone ciało, pytała dusza jego zdumiona: „Cóż to za gamoń tam stoi przy oknie z otwartą gębą?”.

Od chwili już odzywało się coś na ulicy monotonicznie.

Nie słyszał naturalnie.

Było to, jakby skrzypiała taczka, nienasmarowany wózek czy coś podobnego.

Cały balast doświadczeń... myślał... precz... naturalnie.

Z wszystkiego samo jego uczucie wyzwolenia... tak...

A cóż tam znowu tak skrzypi?

Poskoczył do okna.

Ulicą pustą, otoczoną parkanami, spoza których wychylały się śnieżyste czuby rozkwitłych czeremch, szedł z trudem człek jakiś i ciągnął za sobą na konopnej szlei spory wózek.

Na wózku onym rzeczy było niemało, w miarę zbliżania się widać je było coraz wyraźniej.

Przeważały skorupy z potłuczonych, cudnych niegdyś amfor. Ale trucizny snadź mieściły w sobie, bo zielone na nich i sine widniały osady, z innych zaś dotąd mętna ściekała ciecz na bruk uliczny. Dalej czerniły się przekisłe, popękane garnki, w których królowa NĘDZA wczoraj jeszcze pewnie gotowała strawę codzienną. Z boku wychylały się na świat niepewnie trzewiki, podarte na drogach cnoty, poplamione błotem, po krętych ścieżynach życia ubieranym mozolnie. Nad tym drobiazgiem, przygniatając go wprost swą ważką personą, trzęsła się wielka komoda, pełna fałszowanych dokumentów szlachetności, a obok niej widniała miednica ku myciu w czystości rąk służąca i jako żywo w tej służbie obrzydliwymi plamami okryta.

Ale wszystko to byłoby niczym, gdybym zapomniał o niewielkim, sterczącym nogami w górę stole. Przy nim... zresztą mniejsza o dokładność... dość, że był on przykrą, nader przykrą pamiątką dni minionych. Coś o uczcie się zaplątało w pamięci niechętniej wspomnieniom, o uczcie braterskiej, kartach, cykutowym winie, gościu spodziewanym, tym i owym... ot smutne, smutne rzeczy...

Wszystko, a nie wyliczyłem ni małej części onych rupieci, mieściło się na wózku, a przewiązane były troskliwie porządnym sznurem, z widocznym nawet staraniem o elegancję. Ten, kto to uczynił, w całej pełni zasługiwał na miano zdolnego i o dobro klientów dbałego fachowca.

Człek to był zresztą dziwny jakiś.

Teraz, gdy przystanął dla spoczynienia i ocierał pot z czoła rękawem, widać go było wyraźnie.

Rysy miał ostre, haczykowany nos, zarost czarny, kędzierzawy.

Uśmiechał się jowialnie, szeroko otwierając usta.

Na głowie jego widniała czerwona czapka, z przypiętą z przodu blachą. Słońce grało na niej barwami tęczy, jak na szybie katedry i z dala jaśniał wyraźnie napis:

Posługacz publiczny.

Czapka siedziała na głowie krzywo jakoś, a spod niej wyzierał mały, krzywy, kosmaty rozek diabelski.

Ogon biesi dla większej wygody okręcony był około bioder i zastępował sznur, jakim się opasują zazwyczaj tragarze.

Postać chwilę, zapiął na piersiach rozwartą niebieską bluzę, a znalazłszy oczyma stojącego u okna w osłupieniu człowieka, zdjął uprzejmie czapkę z głowy, skłonił się i zawołał: – Całuję tyż pokornie rączki pana dobrodzieja. Zmarudziło się. Ale nimem się ta na policyi o adrys dopytał... Straśna ciżba...

Cel

– Nie widzę powodów zapuszczania się w badanie początków i celu naszego bytu! – mówiła do swej sąsiadki drobina bromku srebra, tkwiąca w żelatynie płyty fotograficznej. – Świat jest to ogromna, bliżej niezbadana płaszczyzna, sięgająca na wszystkie strony w „CZARNY PAPIER”, czyli nieskończoność, a każda z nas ma stałe swoje miejsce od wieków wyznaczone przez „WIELKĄ CIEMNOŚĆ”, jedyną, dobroczynną, niepodzielną i ostateczną przyczynę wszystkiego, co istnieje. Istnieją zaś tylko dwie rzeczy na świecie: my i żelatyna. Ta ostatnia jest stworzona dla nas. Oto wszystko, co wiedzieć można... reszta jest głupstwem.

– A jednak przypuścić możemy, że był czas, kiedy zgoła inaczej działało się pod CZARNYM PAPIEREM... mógł istnieć czas, kiedy...

– No... kiedy co?

– Kiedy nie było nawet samego CZARNEGO PAPIERU!

– Milcz!

– Być może, iż nawet nasz stan obecny, wytworzony przez WIELKĄ CIEMNOŚĆ, nie jest odwiecznym i jedynym, a także nie jest ostatecznym i definitywnym... być może, że przedtem... niezmiernie dawno, w toniach przedwieczności istniało coś całkiem innego... coś..

Zamilkła, nie śmiejąc dalej snuć przypuszczeń, pewna zresztą, że nie znajdzie zrozumienia u sąsiadki.

Tak się też stało.

Ortodoksyjna interlokutorka, nie mogąc się odwrócić od buntowniczkich, ni oddalić, zamilkła na znak wzgardy. Złorzeczyła w ciszy WIELKIEJ CIEMNOŚCI za to, że umieściła ją obok tej wariatki, na całą wieczność skazała na to okropne sąsiedztwo i pozbawiła rozkoszy harmonijnego, spokojnego życia pośród równych sobie pojęciami i charakterem.

Z nieznanymi źródłami zrodzone, nie wiadomo jak i przez kogo dalej snute, plątały się wśród statecznego zbiorowiska drobin, istot jednakich z pozoru, rządzących się absolutną oczywistością i nietykalną uznających równość, niejasne, mgliste legendy o rzeczach nadzwyczajnych, przekraczających rozum, niepodległych prawom normalnego spostrzeżenia... słowem głupstwa!

Legendy owe, nazywane przez niektórych „wspomnieniami”, mówiły o początku PŁYTY i jej stopniowych przemianach, zanim wraz z istotami na niej osiadłymi stała się tym, czym była obecnie. Niby wątle cienie snuły się klechdy o słodkim, czerwonym, łagodnym spojrzeniu innego boga, boga, który istniał dawno, dawno, przed narodzeniem WIELKIEJ CIEMNOŚCI, który wisiał wysoko w przerażającej dali, kędyś poza dzisiejszą nieskończonością i mówiły, że to on, ten bóg jest stwórcą PŁYTY i wszystkiego co się na niej znajduje. W on czas, WIELKA CIEMNOŚĆ nie istniała jeszcze w obecnej swej formie, kształtowała się dopiero. Władzał zaś dobroczynny, niepojęty i słodki bóg: CZERWONA LAMPA. Ale z biegiem czasu zaszły zmiany. WIELKA CIEMNOŚĆ rozrósłszy się niezmiernie, z potężnym szumem, dnia jednego oblała świat i w jej czarnych falach zatoneło dobroczynne bóstwo. Na znak tego zwycięstwa ciemności, legł na świecie potężny demon CZARNY PAPIER i nastąpiwszy potężną swą stopą na zdrętwiałą ze strachu płytę, rozkazał nazywać siebie Nieskończonością. Był to jakby wielkorządca nowego boga, absolutny, jedyny i nieodpowiedzialny tyran. Oznaczył granice istnienia i zakazawszy myśleć o czymkolwiek poza sobą, zabiwszy wszelaką możliwość badania... obojętny na urągliwe pogwary i chybotliwe marzenia, legł spoczywać na zdobytym świecie. I zdawało się, że odpoczynek ten trwać będzie wiekuiście.

Gdzieś ponad nim, o czym wiedzieć jeszcze pozwalała wiedza urzędowa, w niepewnej dali, trwała WIELKA CIEMNOŚĆ, przyczyna wszechrzeczy, jako taka jedyna, odwieczna, niepodzielna i wyłączna. Zaś idea boga czerwonoookiego nikła z wolna, jawiąc się już teraz tylko w marzeniach.

Tak głosili poeci.

Ale nikt ich nie chciał słuchać.

Wiekowe doświadczenie przeczyło wszelkim zmianom i przemawiało silniej do umysłów. Było faktem. Narzucało się jako prawo natury, przez samo swe istnienie udowodnione.

Zezłoszczona sąsiadka marzycielki, rozpowiadawszy pobliskim o przypadłościach mózgowych biedaczki, rozpędziła się tak w elokwencji, że zapominając o zaprzysiężonej pogardzie, przerwała milczenie:

– Zaprawdę moja droga, mówi mi głos wewnętrzny, że ty właściwie nie należysz do naszego zbiorowiska. Ty, wprost myślę, dostałaś się do nas tylko przypadkiem. Tak! Tak! Widzę to jasno! Spadłaś tu do nas z innego świata (o ile są światy inne). Ha, ha, ha! Bardzo być może, że gdzieś w przestrzeniach, pod samym CZARNYM PAPIEREM wiszą zwariowane drobiny, przez Opatrzność wykluczone z życia, dla dobra naszej płyty. Niezawodnie spadłaś stamtąd i utkwiałaś pośrodku nas! Nie wiem tylko, czemu cię złośliwy przypadek rzucił właśnie koło mnie. Prawdziwe nieszczęście!

Zgromiona milczała długo. Wreszcie zaczęła z cicha:

– Nie gniewaj się, moja droga! Wybacz, że cię może nudzę. Ale rada bym zapytać jeszcze o jedno. Tylko o jedno!

– Mów! – odsapnęła zapytana, rada, że ją proszą o pouczenie. Uczyć to bardzo przyjemnie, to pochlebia.

– Powiedz mi, jaki tedy cel naszego istnienia?

– Cel?

– Tak. Taki rozumny sens życia. Wszystko wkoło ma cel. Tedy²⁰ jaki jest nasz cel?

Zaległa cisza. Wreszcie powiedziała nauczycielka:

– Muszę uchylić to pytanie. Znam tylko samo życie. Wszystko, co ma cel, ma ten cel dla życia. Jeżeli zaś samo życie ma cel jaki, to celem tym jest tylko ono samo. Zrozumiałaś?

– Nie.

– Spodziewałem się tego. Nie znasz filozofii.

– Myślę tak: czy my kiedyś staniemy się czymś wyższym i czy żyjemy po to, aby się kiedyś tym stać?

– To nie jest żadna filozofia, moja droga! To się nazywa „circulus vitiosus”! Rozumiesz? To jest błędny sylogizm, czyli, inaczej mówiąc, głupstwo! To nawet nie jest żadna kwestia, bo taka kwestia w ogóle nie istnieje. Czymś wyższym? Phi! Najwyższym, poznawalnym jest CZARNY PAPIER... Czymś wyższym? No powiedz no mi moja droga, jak sobie wyobrażasz to „wyższe”? Czym chciałabyś zostać? Powiedz, a śmiało, mam trochę czasu zbędnego! Milczysz?... Jeszcze milczysz... Czyżbyś nie miała do mnie zaufania?

Nie było odpowiedzi.

Po chwili dopiero ozwała się pytająca:

– To prawda. Nie jestem w stanie określić formy bytu innej jak nasza. Ale czemuż ja to czuję? Dlaczego tęsknię? Czy tęsknić można za absurdalnym, za niemożliwym. Czuję...

– Oczywiście! I ja też czuję... – przyznała mentorka.

– Naprawdę! A co? – spytała rozkosznie zdziwiona.

– Czuję, że mi bardzo dobrze w żelatynie! – Wygrawszy sprawę, sapnęła z ukontentowania, a na jej powierzchni pojawiło się coś niby uśmiech satysfakcji. Tak samo sądził ogół.

Niewidzialna WIELKA CIEMNOŚĆ i najwyższe z poznawalnych CZARNY PAPIER, oto wszystko. Marzenia i przeczucia... oto nic.

– Czyż to prawda, że jestem wariatką? – pytała się samej siebie nieszczęsna drobina bromku srebra. – Czyż rzeczywiście wszyscy, na całej PŁYTCIE myślą tak, jak to słyszałam, a tylko ja jedna... tylko ja jedna... Tak, tak... to jasne...

²⁰ tedy (daw.) – więc, zatem. [przypis edytorski]

Rozpaczliwym spojrzeniem objęła swe otoczenie. Wokół, jak okiem sięgnąć, same przysadkowate, wtopione po szyję w rogowatą masę drobin y zezowały ku niej złośliwie.

„Tak, tak... nie ma wątpliwości... ona ma rację, one wszystkie mają rację!” – krzyknęło jej w sercu.

„A może jest ktoś? – myślała. – Może tak samo jak ja cierpi druga dusza... może ich jest dużo...”

To byłoby ocaleniem! Może są... Są na pewno! Tylko daleko niezawodnie, ogromnie daleko, gdzieś poza tą gęstwą wrogów... Są może opodal... coś mi mówi, że są bardzo blisko! Ale to wszystko jedno. Czy są blisko, czy daleko, są zawsze poza sferą porozumienia... czyli... nie ma ich wcale!

I znowu niepodobna znaleźć wyjścia. Znowu staje się wobec klęski.

Czas mijał.

Wszyscy wkoło mierzyli go poczuciem dobra i zadowolenia, ona jedna gorączką niepokoju i rozpaczy.

Aż pewnego dnia stało się coś strasznego.

Powstał szum.

Drobin y od razu pogłuchły, a tu i ówdzie odezwały się głosy:

– Legenda! Legenda! Wspomnijcie legendę!

Marzycielka nasza ożyła na nowo i w tym chaosie i przerażeniu ogólnym ona jedna powitała radosną nadzieją groźną katastrofę, siląc się przy tym na dojrzenie owych drobin pokrewnych, skrytych gdzieś wśród ciżby obcych, chociaż tak bliskich. Ale daremnie. Nie ujrzała ich wcale.

A groza rosła.

Szum zrazu lekki wzmagał się ustawicznie. Płyta poczęła się chwiać, jak gdyby wicher uniósł ją na niezmierny, wzburzony ocean. Moce jakieś szarpały CZARNYM PAPIEREM, który kłębił się i wił, jakby walczył z potężnym wrogiem.

Konwulsyjne wstrząśnienia uczuli wszyscy. Powstała panika, a tym straszniejszą była, że wszystko tkwiło na swoim miejscu, omdlałe jeno²¹, na poły martwe.

Nikt nie dziwił się, choć działy się rzeczy niesłychane, nikt się nie dziwił, choć padło w niwecz odwieczne prawo.

Wszyscy się bali.

Tylko nasza marzycielka pobladłymi ze strachu usty²² szeptała:

– Legenda! Legenda! Wspomnijcie legendę!

Ale znów nikt nie słuchał.

Nagle, pośród największego szamotania, stała się rzecz niepojęta.

Oto nastała cisza. Cisza absolutna, niemal zgodna z prawem odwiecznym, a wśród tej ciszy, powoli, bezgłośnie rozwarły się niebiosy i oczom zdrętwiałych z przerażenia ukazało się Bóstwo:

CZERWONA LAMPA.

Świat opłynął nagle falą krwi. Zatonął w czerwieni. A czerwień ta słodka była i łagodna. Pieściła pochwycone w topiel drobin y. Całowała je jak matka... i zdawało się, że mówi: „Nie bójcie się! Nie bójcie się! Jam jest światłość miłosierdzia. Nie bójcie się!”.

Długo trwało, nim się ustalił nowy porządek rzeczy.

A jednak tak się wreszcie stało.

I dziwne. Teraz nikt się nie dziwił cudowi, od kiedy narzucił się jako prawo. Katastrofa nabrała wyglądu konieczności, co więcej to, co ongiś potępiano jako marzenie i herezję, teraz posłużyło do ugruntowania nowego światopoglądu. Przyznano, iż poeci i marzyciele wieku minionego mieli niejasne, prorocze przeczucie tego, co nastąpi. Czy było to proroctwem, czy tylko wspomnieniem...

²¹ jeno (daw.) – tylko. [przypis edytorski]

²² pobladłymi (...) usty – daw. forma N.Im; dziś: pobladłymi ustami. [przypis edytorski]

O to spierano się długo, aż wreszcie ogłoszono następującą: „*Prawdę o istotnych właściwościach świata i jego początku*”.

1. Świat widomy, czyli PŁYTA, jest to wielka, niezmierna płaszczyzna, która zaczęła swe istnienie w czasie, ale końca mieć nie będzie.

2. Świat widomy, czyli PŁYTA, stworzonym został w czasie przez Bóstwo najwyższe CZERWONĄ LAMPĘ i oddanym został w opiekę Bóstwu drugorzędnemu, WIELKIEJ CIEMNOŚCI. Bóstwo to jest emanacją pierwszego i pozornie tylko z nim sprzeczne, w istocie zaś substancjonalnie identyczne, choć różniące się funkcjonalnie. WIELKA CIEMNOŚĆ wyłoniła z siebie, materialniejsze już o wiele, bóstwo trzeciorzędne, CZARNY PAPIER, którego emanacją, jeszcze bardziej grubą i materialną jest żelatyna, która dała życie drobinom bromku srebra.

3. Na PŁYTCIE nic się nie zmienia, wszystko trwa wiecznie, natomiast bóstwa objawiają się przez zmiany, czyli LUNACJE.

4. CZERWONA LAMPA nawiedza stworzenie, darząc je światłem, pozwalając im spozierać w oblicze swoje i darząc rozlicznymi dary.

5. Od zachowania się drobin zależą zjawiania się bóstwa przedwiecznego i dzieje samejże PŁYTY. Tak to same stworzenia są twórcami swego losu i w tych granicach cieszą się posiadaniem wolnej woli.

6. Ideałem doskonałości jest stan, w którym wszystkie drobiny zasługiwałyby na ciągłe oglądanie twarzy CZERWONEJ LAMPY. Stan taki nastąpi i wówczas bóstwa drugorzędne znikną, jako już niepotrzebne. Spalą się w płomieniu CZERWONEJ LAMPY i z nią na wieki zjednoczą.

7. Dojście do tego stanu jest celem świata. Tedy celem tego życia jest dojście do życia wyższego, wydostanie się z kręgu ciemności, dziś panującej, w krąg światła, który jest zarazem stanem definitywnym, ostatecznym i niezmiennym.

8. Droga do tego celu jest wiara, posłuszeństwo i modlitwa.

9. Nad wykonaniem praktycznym i nienaruszalnością tej prawdy czuwa kolegium kapłańskie. Podpisano: MARZYCIELKA, przewodnicząca

Niedługo po ogłoszeniu „Prawdy o istotnych celach i początku świata” znikło bóstwo i WIELKA CIEMNOŚĆ znowu roztoczyła swe panowanie.

Ale prawdy raz powstałe nie znikły wraz ze światłem. Pozostały jako jego abstrakcyjny odbłask, jako dobra nowina.

Tryumf Marzycielki był niezmierny, cześć i szacunek, jakimi ją otoczono, niewypowiedziane.

Dzięki to jej bowiem, dzięki jej tęsknocie, dzięki jej wierze, PŁYTA otrzymała rozumowane prawo moralne, skończył się okres mętnego i płytkiego materializmu, świat cały przejrzał i poznał swój cel ostateczny.

Otrzymała tytuł: „Dobroczyńcy świata”.

Zaiste nie było to za wiele.

Wszystkie drobiny marzyły teraz o tym, by się dostać w jej pobliże. Ale to było niemożliwe.

Sąsiadka usilnie się starała paść jej do nóg, ale i to okazało się niewykonalne.

Poprzestała tedy na tym, że marzyła bez przerwy, by się jej przypodobać.

Niestety, jej marzenie, jako iż nie była zbyt lotną, wrychle przybrało postać narzekania.

– O jakże to dawno – jęczała – jakże dawno zniknęło światło! Czyliż już nigdy WIELKA CIEMNOŚĆ nie rozwinie swych opon?

– Nie szemraj! – nakazywała jej Marzycielka.

I wskazywała na wieki długie, wieki legendarnej wiary w bóstwo, jakie przetrwał świat od chwili pierwszej zjawy.

– Nie szemraj! – nauczła ją. – Trwaj w tęsknocie!

– Ach! Znowu zeszyła ta żelatyna na kamień, tak, że ani wytrwać dłużej!

– Strzeż się! – upominała już surowiej. – Opóźniasz światłość sobie i innym! Módl się!

– Ach! Modłę się, ale CZERWONA LAMPA widać nie słucha moich modłów!

– Modlitwa twoja pełna jest niecierpliwości! Takich błagań nie słucha bóstwo jedyne, nieogarnione, wyłączone, prócz którego nic nie ma na świecie, a którego formą jest wszystko, co istnieje...

Nie mogła domówić swych słów do końca.

Stało się coś przerażającego.

Oto nagle, niespodzianie, bez szumu i wstrząśnienia, rozdarła się czarna opona WIELKIEJ CIEMNOŚCI i na świat spadł... piorun!

Jakiś grom bezgłośny.

Jakaś śmierć nagła.

Nagła, a niewypowiedzianie piękna.

Rozpękł się byt, zawaliło życie.

A przez zgłiszcza wionęła wizja bezkształtna, niewyobrażalna.

Wizja życia innego, życia, którym żyć nie sposób. Życia-śmierci.

Spadła na świat NICOŚĆ, będąca wszystkim!

Stało się Niezapamiętalne! Niemożliwe!

Przyszło skądś, gdzie przed sekundą żył Bóg.

Jego tam już nie było!

Padł trupem i został pochłonięty.

Cicho i na zawsze.

Było znów czarno, tak czarno, że nie widać było WIELKIEJ CIEMNOŚCI.

Zdawało się, że to jej zwęglone zwłoki wiszą w szmatach ponad światem.

A wokół cisza... cisza... martwota niezmierna.

Cisza, co trwać nie przestanie, bo jest sam trupem, cisza próżna, nie zawierająca nawet wspomnień, bo TO wszystkie przeraziło.

TO!

Tak się wydawało wszystkim drobinom na płycie.

Wszystkim?

Gdy przeminęło pierwsze osłupienie i poczęto się rozglądać wkoło, nastąpiło nowe zdziwienie i nowe, lepiej już uświadomione przerażenie.

Marzycielka, przewodnicząca kolegium kapłańskiego zagadnęła sąsiadkę i nie otrzymała odpowiedzi. Zdziwiona, że gadatliwa ta osoba nagle zaniemiała²³, obejrzała ją dokładnie i... omal nie zemdląca sama ze strachu.

Sąsiadka zmarła.

Tkwiała dalej na swoim miejscu i z pozoru nie zmieniła się wcale. Ale ustało w niej nagle coś, czego określić nie sposób, czego wypowiedzieć nie można. Jednym słowem, zmarła.

Od początku świata stało się to po raz pierwszy.

Właśnie jej się to przydarzyło.

Czyż tylko jej?

Wokoło stało się to samo.

W jednym miejscu zmartwiała cała grupa drobin, w innym wszystkie ostały się żywe.

Tam TO uśmierciło kilka tylko, gdzie indziej wielka przestrzeń usiana była zmarłymi.

Stał się nowy, niepojęty cud.

Śmierć.

I to śmierć dziwna, fantastyczna, bezprawa²⁴ i bezcelowo okrutna.

Ustalone, wyrozumowane, zgodne z rzeczywistością prawa życia i wynikające z nich prawa moralne w puch rozbił jakiś piorun, jakieś ZŁO, działające bez sensu, bez celu, dzikie i nieobliczalne.

²³ zaniemieć – dziś: oniemieć. [przypis edytorski]

²⁴ bezprawa – dziś raczej: bezprawna. [przypis edytorski]

ZŁO ostateczne, wszechpotężne, a bezrozumne.

ZŁO, którego żywiołem chaos, a skutkiem rozpacz niema, bezbronna i sama w sobie nierozumna.

Nie warto już było żyć, ani myśleć, nie warto już budować żadnych wartości logicznych, ani etycznych, nie warto się modlić, ani kłać, cieszyć się, ni smucić.

Czyż poginęli sami źli?

Czyż poginęli sami dobrzy?

Czyż to była kara?

Czyż to była nagroda?

Czy było w tym coś możliwego do poznania?

Ale było w tym jednocześnie wszystko, bo kładło, bo kłaść mogło kres wszystkiemu.

Ale czy wedle woli jakiejś... czy wedle przypadku...

Pewne stało się tylko jedno: CZERWONA LAMPA ZMARŁA.

CZERWONA LAMPA, Bóstwo twórcze, rozumne, logiczne, miłosierdzie, źródło prawa, emanujące bóstwa inne, wykonawców prawa, zawiadowców szczęścia i zbawienia...

Zmarła... i wszystko przepadło.

Zostało ZŁO...

Szaleństwo siadło na tronie Boga.

Nastał czas dziwny.

Zaczęły się szybkie zmiany, których już nawet notować w świadomości nie mogły skazane na zagładę drobiny bromku srebra.

Przestały się dziwić.

Wszystko, z trudem przez wieki ustalone, wyplakane łzami tęsknoty, wyżebrane modłami długich nocy oczekiwania, wszystko podarło się w szmaty. Związki przyczynowe pękały. Coś, co dotąd było przyczyną, nagle stało się skutkiem.

Co zmarło, żyło, natomiast żywe przestało istnieć.

Miłosierne, mężne, stało się niemocne i jakby głupkowane...

Nic dziwnego. Wszak rządziło szaleństwo.

WIELKA CIEMNOŚĆ gdzieś się zapodziała.

CZERWONA LAMPA wstała z martwych i zjawiła się po to, by z uśmiechem dobrotliwego idioty przyświecać męczarniom.

ZŁO poraziło w niej bóstwo, pozostał uśmiech boski, pozostał łagodny, słodki blask...

Jakby w masce swej własnej, dawnej twarzy, przeszedłszy krainę śmierci, wyszła znów wysoko, jakby na czyjś rozkaz, służalczo i spoglądała na rzeczy straszne, nie mrugnawszy okiem. A działy się rzeczy przeraźliwe.

Jakaś nowa moc zanurzyła świat, wraz z wszystkimi żywymi i umarłymi w otchłań oceanu, w toń niezgłębioną a przejrzystą.

Odwieczne środowisko, w którym żyły drobiny, wzdęło się niezmiernie.

Teraz wszyscy porażeni przez szaleństwo, poczęli czernieć, stawać się podobnymi do WIELKIEJ CIEMNOŚCI, jakby w zimnym tym morzu bez płomieni spalali się na węgiel.

Otoczyło ich płynne piekło.

A żywi, półżywi ze strachu, poprzez toń przezroczystą, patrzyli w twarz nieboszczyka-boga swego, w jego oko czerwone i obojętne. Spoglądali bez modlitwy i bez rozpacz.

Bo i rozpacz umarła.

Potem zaczął się koniec. Świat ginął w konwulsjach dziwacznych i dla samej nawet zagłady bezcelowych.

Siła jakaś wyniosła płytę wysoko, przewróciła ją ku CZERWONEJ LAMPIE, zatrzymała na chwilę w tym położeniu, wreszcie zatopiła w inne morze, niewypowiedziane zimne i mętne.

Zali²⁵ chciało SZALEŃSTWO pokazać Bóstwu po raz ostatni ruiny?

I po co? Bóstwo przecież przestało rozumieć. Marzycielka zamknęła oczy. Potem czuła, pogrążona w białych odmętach, że odrywa się od PŁYTY.

Wokół niej fale odrywały kawały rodzimego podłoża wraz z żywymi.

Martwi trzymali się mocno swego grobowca, jakby się z nim zrośli.

Potem wraz z innymi spłynęła... uczuła, że miota nią coś z niezmierną siłą, uderzyła o skałę śliską i twardą niezmiernie i wreszcie... zatonęła.

Zapadła w biel, nieprześwietloną nawet czerwonym światłem i doznała dziwnego wrażenia.

Było to jakby rozstępowanie się ciała, rozkład, któremu przyświecała świadomość. Ale nikła i ona szybko, ginęła... wreszcie skończyło się wszystko.

Na świecie, zeżartym przez orkan SZALEŃSTWA, pozostały same tylko szerniałe trupy. Chociaż szarpane zębem ZŁA, z uporem nieświadomym trzymały się powierzchni, szklistej teraz i niepodobnej do siebie. Leżały w beładnych kupach, bez celu rozrzucone, jak je poraził piorun, to blisko siebie, to porozdzielane wielkimi przestrzeniami, to w cieńszych, to w grubszych warstwach... słowem w nieładzie bezrozumnym, nikomu na nic nieprzydatne, niezdolne już nawet odczuwać przeraźliwej jasności; na jaką je wyniesiono, niezdolne widzieć, że CZERWONA LAMPA błysnęła niedługo po śmierci Marzycielki po raz ostatni i zgasła na wieki.

Czyż Bóstwo oprzytomniało wobec grozy zagłady istoty wybranej i skonało z żalu za tą, której tęsknota długa, bolesna i wytrwała sprawiła tyle dobrego?

Zginęła Marzycielka, zginął jej świat i cel jego. I nie wiedziała, że na zeżartym Szaleństwem świecie stała się rzecz nowa. Powstał obraz istoty wyższej, a cel PŁYTY spełnił się dla niej.

Powstał portret CZŁOWIEKA.

Istoty, której świat drobin bromku srebra nigdy nie widział i nie mógł widzieć.

Portret CZŁOWIEKA.

A jakież długie szeregi aniołów postępują drogą wiodącą z nizin pojęć człowieczych, do tronu BOGA.

²⁵ zali (daw.) – czyż; czyżby. [przypis edytorski]

Pułapka

Trzymał się półprzytomny ze strachu zimnych, rdzawych krat więzienia i szeptał w czarną noc:
– Słuchaj! Słuchaj!
– Słucham! – mówiła noc czarna i wył wicher²⁶.
– Zbłądziłem w zakamarek, zbłądziłem... Coś zatrzasnęło drzwi... wyjść nie było sposobu... domy się poczęły ruszać... obstały mnie parkany... przygięły się drzewa od góry... a nade wszystko, ktoś zatrzasnął drzwi...
– Ja... noc, ciemność...
– Ty?... Nie, nie mów tak... Nie przerywaj... Nie może być... Więc mówię... zbłądziłem... A chciałem jeno... czekaj... coś chciałem... Aha... Coś połykało na bruku...
– Szkło! Szkło! Rozbita flaszka z wódki... Przeglądał się w niej Syriusz świetny...
– Skąd wiesz? Nie, to było coś cudnego... I po cóż bym...
– Nie... nie...
– I po cóż bym dlatego miał zbaczać? Zresztą... wszystko jedno... nic zmienić tego nie zdoła, że: zbłądziłem.
– Nieprawda...
– Zbłądziłem... błądził... dził... dził... eeeem... em!... Żeeee... błądził... błą... Żeee... Coś jak papuga wrzeszczało gdzieś z góry spod sufitu.
Więzień zeskoczył z przymurka, na którym wisiał, kurczowo trzymając się kraty.
Papuga się zbudziła. Sumienie! Cała znów noc męczarni... Co począć... co?
Wyciągnął pięści w stronę ptaka i wbiwszy oczy w ciemność, rozkazał:
– Milcz!
Przez chwilę łopotały skrzydła i rozlegały się gardłowe dźwięki. Potem nastąpiła cisza. Liczył sekundy: jedna, dwie, trzy... dobrze!
– Posłuchaj! – szepnęła znów ciemność – To było tak...
– Czekaj! Czekaj! Jest tu pewnie jeszcze druga bestia. Poczekaj. Wlecze się przecież za człowiekiem druga forma sumienia... poczekaj...
Z wyciągniętymi ramionami²⁷ obszedł całą celę. Nic.
A może tam w górze, pod sklepieniem? – pomyślał.
I jakby w odzew przypuszczeniu rozległ się kędyś spośród rozgałęzień gotyckich żeber cichy, szyderczy śmiech.
Szukał skrzętnie za czymś²⁸, co by mu posłużyć mogło.
– Mam! – odetchnął radośnie.
Znalazł deskę ze sporym, sterczącym gwoździem.
Oparł ją o mur, wspiął się wzwyż i szukał po sklepieniu.
Natrafiał na gotyckie wypukłe żebra, niby napęczniałe krwawe żyły ciała ludzkiego czy gałęzie drzewa.
Szedł po konarze żebra i wnet dotknął zwornika.
Misternie był wyrobiony w kształt małpy.
Położył dłoń na jej ustach. Śmiały się szyderczo, cicho.
Zamachnął się i trzasnął pięścią w te usta.
Zeskoczył na dół, rad bardzo.
Kopnął deskę. Padła z łoskotem. Zahuczało rozgłośnie, potem kaźnię zaległa cisza głęboka.

²⁶ *wicher* – dziś: *wicher*. [przypis edytorski]

²⁷ *wyciągniętymi ramionami* – daw. forma N.lm; dziś: *wyciągniętymi ramionami*. [przypis edytorski]

²⁸ *szukał (...)* *za czymś* – dziś popr.: *szukał czegoś* a. *rozglądał się za czymś*. [przypis edytorski]

– Teraz mów! – powiedział w ciemni nocy. – Jak się to stało?
Nic mu nie odpowiedziało. Czekał, czekał... daremnie. Ta cisza wprowadziła go w rozpacz.
Zrozumiał, że chcąc nawiązać kontakt z zaświatem... zerwał go.
Chcąc uprościć drogę, zdeptał ślady w gąszczu życia.
Cisza.
Rad by był usłyszeć cokolwiek, bodaj głos jakiś, bodaj papugi wrzask, bodaj śmiech małpy.
– Mów! – prosił jak dziecko splakane, zestraszony²⁹.
Nie odpowiadało nic.
Jak człowiek, który wszystko utracił, począł rozumować trzeźwo, zimno, porządnie. Był zdany na siły własne. Przede wszystkim więc: Jak się to stało?
– Szedłem prosto... nagle...
I już nic więcej nie wiedział, bo jakże może cokolwiek wiedzieć człowiek, który nagle zapadł się w świat inny.
Byle promyk słońca, byle głos jakiś. Po tej wątej nici wydostałby się jakoś w świat żywych.
To nie był sen. O, sen jest jaśnią i prawdą wobec tych oto ciemności. Nie grób... grób jest ogrodem wobec tej kaźni!
Wstał i jął³⁰ chodzić wokół zamkniętej przestrzeni.
Naraz stanął. Coś pukało... pukało... cichutko, lekko... ledwo dosłyszalnie. Zaczął szukać.
Wodził rękami po ścianach. Suwał je z góry aż do posadzki. Nic. Szukał dalej... idą za owym nieuchwytnym pukaniem.
Nagle zadrżał.
Natrafił na coś miękkiego, ciepłego.
Po chwili trzymał w dłoniach małą ptaszynę.
Serce ptaka waliło młotem.
Od uderzeń tych drżał cały, drżały mury więzienia, tętniła ziemia...
Czuł, że uderzenia te mogą rozwalić ziemię.
Albowiem był to strach.
Porwał się biec ku oknu, ale musiał go długo szukać. Nareszcie trafił i wsunąwszy rękę poprzez kraty otworzył dłoń.
Rozległ się furkot skrzydeł.
– A to było tak... – postyszał nagle z ciemności.
Ciemń zaczęła opowiadać.
Przywarł do krat łakomie. Ujrzał słońce na czerni, rozświetliła się noc. Zrozumiał, że może w ciemku żyć radość.
Leżał na twardej słomie, głos od okna przywołał go i szeptać począł:
– A to było... tak...
– Jak? – spytał.
– Szedłeś prosto... prościuteńko, jak każe prawo... a nad głową twą była pieśń...
– Tyle wiem sam. Była pieśń radosna.
– Tak. Szedłeś tedy... gdy wtem nagle..
– Już wiem! Szkło! Rozbita flaszka!
– Nie!... Gdzież tam!
– Nie?
– Więc mówię ci... Szedłeś... wtem... nagle z bocznej, brudnej uliczki ktoś krzyknął: „Ratunku!”
– I co? I co dalej? – pytał rozciekawiony. Nagle pod sklepieniem załopotwały skrzydła.

²⁹ zestraszony – dziś: przestraszony. [przypis edytorski]

³⁰ jąć (daw.) – zacząć. [przypis edytorski]

Więzień skurczył się ze strachu. Czekał... wysilił swą wolę, skupiał do rozkazu, ale czuł, że mu jej braknie, że nie uśmierzy sumienia.

– Wiesz, jak to się stało – powiedziała znów ciemność.

No wiem... Ktoś z bocznej uliczki zawołał...

– Ale nie! Nie!

– Znowu inaczej?

– Tak było... Słuchaj! Szedłeś ulicą... szedłeś... ponad twoją głową był sztandar Jutra z koroną cierniową na czerwieni niepokalanej... wtem nagle...

– Ktoś krzyknął...

– Nie! Wcale nie!... Nagle zapłakało dziecko... dziecko... mała dziecina przestraszona tym, że śmieci porwane wiatrem tańczą dziwacznie w kółko.

– I dlatego... ja...?

– Któż ci mówi, że dlatego...? Tak... było... to dosyć... tak lub podobnie... Dlaczego to ON jeden chyba wie sam tylko... albo i ON nie wie... Może tego pytania całkiem nie ma... Któż zgadnie... Wiele „kwestii” pojawiało się na świecie, pojawia się i pojawiać będzie... choć wcale nie istnieją.

...To prawda. Na pytanie: „Dlaczego?”... odpowiedzieć się całkiem nie da... i koniec... podobnie jak na skrzyp drzwi źle nasmarowanych albo dźwięk dzwonka... pomyślał.

Poweselał. Rzeźwy był, silnym się czuł, wszystko w nim wołało o czyn.

Z wyciągniętymi³¹ przed się rękami chodził po kaźni od muru do muru.

Ratować, myślał, ratować trzeba... ratować koniecznie, jeśli już nie mnie, to to, co niosę... ...Serca mego męstwo, woli rozmach spętany rozkuć muszę... Tak człękowi nie wolno ginąć... nie wolno... Złe patrzy... a gdy pozna, że silne... Ratować trzeba siebie... ratować... ratować!

Potrącił deskę, z której sięgał ku sklepieniu i po chwili dłubał wyjętym z niej gwoździem koło osady kraty. Ale to było czyste dzieciństwo... Ileż lat... ile lat, a co jeść tymczasem?

Jedynie u drzwi coś by się może zrobić dało... zaraz... ten sztyft... potem... tamten... ano może się uda...

Zajęła go praca, klęczał u drzwi odwrócony od okna, którego prostokąt nieznacznie odciął się od czarnego wnętrza kaźni. Wytężywszy wzrok, dostrzec też można było obok okna wypukłe żebro sklepienia i jakieś połyskujące oczy wysoko ponad drzwiami, jakby ptak drapieżny siedział przyczajony na gzymsie.

Pracował żarliwie, chociaż bez widocznego skutku, wybić usiłował nity wiążące zamek, dostać się do jego wnętrza.

Przestał rozmyślać, był niemal wesoły, miał coś w rodzaju nadziei... To był przynajmniej realny, prawdziwy zamek, zrobiony przez prawdziwych ludzi... już bez pytania oczywista jawa... Dotykał palcami tej rzeczywistości... syn ziemi pieścił żelazo wykopane z tej ziemi, obrobione rękami czy maszynami ludzkimi...

– Chodź no! Chodź! – szemrało od okna, mimo że nikogo nie było widać.

Zbliżywszy się, choć ciemności zalegały wszystko, miał wrażenie, że okno więzienne znajduje się wysoko, bardzo wysoko ponad ziemią i że wychyliwszy się, można by patrzeć wprost z góry na czuby drzew i dachy domów.

– Wychył się... wychył się... – usłyszał.

Nagle coś mu się ciężkiego położyło na ramionach, jak gdyby ktoś go przytrzymał z tyłu i nad samym uchem coś szepnęło:

– Samobójca!... Samobójca...

³¹ wyciągnięty – dziś: wyciągnięty. [przypis edytorski]

Chwycił się krat i trzymając się ich silnie, pił powietrze całą piersią. Teraz, gdy było bodaj trochę rozwidnione, stało mu się z dławiącej trucizny nektarem.

Pił powietrze, nie słuchając wcale, co szmerze koło niego. Był nawykły do głosów, dobywających się z każdego stworzenia... czytał ruch chmur i gwiazd hieroglify...

Wołało go wciąż, bez ustanku:

– Chodź no! Chodź! Już czas!

– Kędyż³²? Kędy? – pytał.

– Przez Wrota Strachu! – odpowiedział głos, jakby z wielkiej dali.

Dreszcz nim wstrząsnął.

– Jak to? Już?... Dziś?

Pytał jak dziecko, co się boi dać wyrwać zęb zepsuty.

Znowu nie rozumiał nic a nic... Ten głos, ten głos, który go ratował tyle, tyle razy... teraz, w chwili nieszczęścia, w zawikłania momencie, strasznej goryczy, czasem śmierci do ust mu przykłada?

Wrota Strachu... Nie, kiedyś, wśród światłości i ciszy, gdy zbieleją już włosy... ale teraz... dziś...

Umiał czytać ruch chmur, gwiazd hieroglify... i cóż z tego... nie umiał przeczytać swego życia...

– Chodź! – mówiła ciemność z coraz większej dali. – Chodź w przemienione istnienie, w wolność, ty spracowany za młodu... chodź po szafirze radosnych tropów szukać życia innego co dnia...

– I czemuż – pytał – ty oddalająca się, tająca się w czerni wabisz mnie na okropną, przeraźną³³ ścieżkę? Mówiłaś mi zawsze o zwycięstwie, o nieśmiertelności...

Z dali, ale wyraźnie, jak głos dzwonu, postyszał:

– Jak to?... nie wiesz?... Nieśmiertelność jest córką skonu.

– Wiem, wiem – odparł, trzymając się krat – Wiem, ale... wszakże kraty...

– Chodź! Jeszcze chwila, a drzwi się mogą zamknąć z trzaskiem... na zawsze...

Na poły zdecydowany zszedł jednak z przymurka i nagle rzucił się na posłanie ze słomy.

– A niech się tam zatraskują drzwi – pomyślał lekceważąco – byleby wróciło to, co jest prawdziwą, codzienną prawdą... to życie bez maski, czy też nawet w masce, ale w znanej, dobrze znanej masce jawy... ach... byle wróciło...!

Ale nim dokończył tej myśli, już zawołał:

– Nie! Nie! Nie chcę przemazać³⁴ pragnień... nie! Raczej śmierć!

– Chodź! – doleciało go z dali wielkiej. Zerwał się.

– Dobrze! – wrzasnął z rozpaczą na całe gardło, aż jękły³⁵ echa potężne. – Dobrze! Idę!

Wyskoczył na okno i przechylił się na zewnątrz.

Zdziwiło go, że przemknął kratę jak duch. Zdziwiło go też, że nie zaskrzeczała papuga.

– Ach! Więc ja nie zbłądziłem! – pomyślał – to była moja droga... kawałek tylko biegła pośród ciemności...

I ogarnięty nagle ogromną radością, wolny już wewnątrz³⁶, rzucił się w półmrok gęsty.

Ledwo stracił spod nóg ziemię, uczył, że się kłębi pod nim powietrze, że go niesie, że u rąk ma długie, kładące się na fali wiatru skrzydła giętkie, ruchliwe, czułe na każde drgnienie, a stalowe, zdolne nieść wysoko... w samo choćby niebo.

³² *kędy* (daw., gw.) – gdzie. [przypis edytorski]

³³ *przeźny* – dziś popr.: przerażający. [przypis edytorski]

³⁴ *przemazać* – przekreślić. [przypis edytorski]

³⁵ *jękły* (daw., gw.) – dziś: jęknęły. [przypis edytorski]

³⁶ *wnętrznie* – dziś: wewnątrz. [przypis edytorski]

Spłynął. I nagle ujrzał przed sobą w niepojętej oddali coś błyszczącego, niby mała gwiazda.
Podobne to było błyszczącemu ziarnu pszenicy.

Otaczała je jakby mgła jasna, jakby płomień liliowy, to znów szafirowy...

Od gwiazdy tej jaśniała szybko ciemna przestrzeń. Pędził w topiel światła, ciągniony, bezwolny,
choć jednocześnie własną mocą, pospiesznie, nagłąc się sam, jak do wybawienia.

Pod sklepieniem kaźni więziennej rozległ się łopot skrzydeł.

Wielkie, ciężkie ptaszysko sfrunęło na dół, siadło na przymurku okna i wsadziwszy głowę
w kwaterę kraty patrzyło w rosnącą jasność, mrugając oczami.

A ponad ptakiem chwiała się w powietrzu na długiej, wężej³⁷ szyi maska rozgrymaszonej małpy.

Patrzyła, co się dzieje.

³⁷ węży – dziś: wężowy. [przypis edytorski]

Świt

Ciemno. Wysoko, na gankach, nad przepaścią podwórza miejskiego zawieszonych jedno nad drugimi, za dnia snują się codzienności, dudniąc obcasami, szmer spódnic dolata stamtąd... Teraz cicho. Deski tylko tu i ówdzie rozsunięte, tak iż z dołu widzisz przez szpary niebo, a w dzień, idąc gankiem, patrzysz ze strachem wprost w kałużę, nisko pod tobą na ziemi.

Ciemno. Nie głosi życia ruch ni szmer ciągły, który jest za dnia bytu znamieniem... ciemno, czerń zaś ta, zda się, leży wprost na piersiach twoich, jak ziemia na rzuconym w dół i zasypanym psie bezpieczeństwa.

Ciemno. Nie wybiła godzina wstawania nowych radości, a czarność leczy rany wczorajsze... chowa pomarłe stworzenia... dobra jest bowiem dla tych, co już wyrosli spod opieki słońca... dojrżeli do WIELKIEJ PODRÓŻY.

Ciemno. Ale choć oczom, co mają po ziemi szukać swych pożytków... uciech... i miłości, światła za mało, patrzmy, czy na bezjawej pustaci nie załśni tu kędyś ślad PRZEWODNIKA.

Nad miastem wysoko Bóg-Orzeł przed świtem, Bóg-Orzeł mocny, dalekowiedz nad dalekowiedze wisi na rozpostartych skrzydłach i patrzy.

Nim świat się z nicości wychyli, idzie z dołu niby oddech śpiącego, gorąca fala, mdła, niemiła.

Linie zaczną nabierać znaczenia, staną się znakami, z plamy wstanie kształt, rzecz żywa, stwora śpiąca albo rzecz, co kryje w sobie żywe.

On, patrzący z góry, wie dobrze, że to wszystko jeno symbol. Kontur światłem określony, plam parę. Tajemnica na przykład słońca przez to, że na nią patrzymy co dnia, nie staje się dzięki temu jasną... my jeno, my patrzący kujemy słowa i stajemy się dewotkami, co skutkiem częstego sypiania po kościołach mniemają, iż mogą z familiarnym uśmiechem patrzeć, jak się w rękach kapłana dokonywuje przemiana prochu ziemi w BOGA żywego...

On też patrzy, chcenie swe twórcze odsunawszy ręką od działania, jak się odsuwa natrętne dziecko. Patrzy na zjawę błędną, co dziwną, zygzakowatą drogę zakreśliwszy, od wczoraj spadła ot tu... po wiekach czy sekundach, nie wiadomo... pod bramę kamienicy dotąd zamkniętą³⁸ i drżąc ze zimna, przytulona u proga czeka... czeka smutnie, by wpaść co żywo... co żywo... i nie płacąc ODŹWIERNEMU-LOSOWI, który otworzy skrzypliwe wrota, co prędzej wbiec na schody... po dwa... po... trzy... skacząc do siebie do łóżka... do codzienności, watomanej cichością półmroczną, do spokoju, odrętwienia.

On się nie złudzi niczym, choć wnet się „życie” wynurzy, to jest to, co ja, ty, on, my, wy, oni... zwiemy znanym i bliskim... my, kiepscy astronomowie, co nie świadomi pokrewieństwa gwiazd, tworzymy konstelację pozorów, fakty, majaki, nicość na nicości, głuszę w milczeniu, ciemni na czerni... słowa.

Coś leci pustymi ulicami. Coś tętni donośnie, pogłos wzrasta... przybliża się.

Jakiż to wczesny znak życia?

Nie jest to pewnie wóz-śmietnik, bo dzwoni inaczej, sunie powoli... wiedząc, że co krok zatrzymać mu się trzeba, by nowe brzemień nabrać na się.

Nie pora mu zresztą jeszcze. Jeszcze ciemno i wóz śpi cicho, czyściuteńko wymieciony z wczorajszych obrzydliwości...

Coraz to głośniejszy tętent. To podkowy. Koń leci po nierównym bruku... rzuca się naprzód jak ryba we wodzie... pędzi wśród nocy.

Mignął w kopającym świetle latarni dalekiej cień i poszła od zaułka do zaułka pogłoska:

³⁸ zamknięty (daw.) – dziś: zamknięty. [przypis edytorski]

Na rozpędzonym koniu, jeździec... do ciała przywiązany duch... duch jeszcze przed chwilą promienny, teraz poczerniał jak ośniedziałe złoto.

Lecą. W omdlałym ręku ducha nad ranem zwolniały wodze, czy chciał może doświadczyć siły swej... i uległ? Nie wiadomo. Koń niesie jeźdźca. Ratunku nie ma... Noc... ciemno... pusto... ni żywego człeka...

Pędzą... tam... ku... rzece... czy dokądś...

Może w ostatnią przed świtem kałużę użycia, świadomi, iż powstydzic się przyjdzie słońca...

Nie. Pędzą w dół, ku rzece... Niechby się wreszcie bestia i zatopiła... rzeka się dziwnie szybko sama oczyszcza... ale duch... duch... kto odwiąże ducha?

Łomocą po bruku podkowy, odbłysek skier krzesanych dolata... zniszczała cała cisza przedświtowa. Błądny tułacz pod progiem, który śnił o domu, nie mając czym doń wejścia opłacić, zbudził się i uczył, że zimno, że bardzo zimno... Huczy po ulicach przeraźnie³⁹, a echa echom podają gryzące, pilne pytanie:

Ale duch... duch... kto odwiąże ducha?

Zza węgła domu, ze szpary pomiędzy murem a parkanem ogrodu wypełzło coś. Leciuteńkie, szarawe tony przylgnęły już do ścian, choć na niebie zmian nie widać wyraźnych ku jasności. Zda mi się, widać łeb. Wieczysty, pretensjonalny żal, jaszczur zielony powraca z łowów nocnych.

Rusza się, miele żuchwami jaskry, stokrocie... Jada wszystko, mówią... wszystko, co się zjeść daje, tylko baczy, by nikt nie widział... przecież on „żał”.

Widzę go. Napęczniały, opity wodą, lśniący stoi w niepewnej, rodzącej się poświacie, u okienka piwnicznego i czeka na coś.

Jeszcze noc... jeszcze się liczy noc, jeszcze nikt nie widzi, że oto nażarł się znowu, że syty i dlatego to nie ginie... żyje ciągle, ciągle...

Syty? Wstyd... wstyd... Spaliłby się ze wstydu, okryłby się płomieniem przed oczyma człowieka, który by dostrzegł, że jada po nocy... do... sytości... Skandal!

Podniósł łeb... miele gębą, a z paszczy zwisają mu pęki ziela rozmaitego, nasiąknięte⁴⁰ wodą.

Wszyscy wiedzą, iż on... on... to tak zwana: „potrzeba duszy”... No, tego by jeszcze brakło.

Łypie oczami i spoziera w górę... Patrzy w górę. No, Boga nie wstyd mu chyba... któż się tam Boga wstydzi... to się nie liczy... to się nie liczy...

Spojrzał raz... drugi... i postąpił krok jeden, drugi i wsunął się do piwnicy.

Ale Bóg-Orzeł nie patrzył na niego.

Rozmawiał właśnie z wiatrem, który zerwawszy płachtę jakąś ze szczytu wieży ratuszowej, rzucił ją na plecy czekającemu pod progiem, zmarzłemu na poły.

Już świta, świta. Czuję, że kędyś hymny płyną, trąby grają. Modlitwa poważna, zamyślona. Jakie to JUTRO, to wstające... nie wiadomo wcale... może to wielkie...

Wznoszę się na fali modłów, jak dym pod obłoki.

Tu cicho jeszcze i pusto, nic nie gra... przywidziało się.

Jasność tylko rozlewa się z wolna, prostuje, kładzie na ziemi i patrzy z niska, skośnie po samej powierzchni ziemi.

W dole, słyhać skrzyp. Otwarto drzwi starej wieży. Idzie stary dzwonnik ogłaszać dzień nowy.

Ptaka zaśnionego⁴¹ na ramieniu nie zbudził. Jak spał w fotelu, wstał i idzie. Idą razem głosić dzień nowy, ach... jaki dzień... jaki... czyli nie ów... ów, o którym się potem śpiewa dzieciom w kołyskach leżącym... dzień-baśń szczęścia...

Wstawaj ze snu, dzwonie.

³⁹ *przeraźnie* – dziś popr.: przeraźliwie. [przypis edytorski]

⁴⁰ *nasiąknięty* (daw.) – dziś: nasiąknięty. [przypis edytorski]

⁴¹ *zaśniony* (neol.) – dziś raczej: uśpiony. [przypis edytorski]

Zwieszony kielich dzwonu jest jak kwiat o stulonych płatkach korony, w ten szary przebrzask. Śpi. Szemrze wiatr, słabo coś na rąbku spiżowym wygrywając. Szarpnięcia trzeba. Drżąca ręka starca spoczęła na ramie okiennej, dzwonnicy, siwa głowa zwrócona ku wschodowi. Stoi.

Serce uprzedziło dzień, przymusiło stare nogi, ręce... Serce bywa czasem dokuczliwe.

Szarość się srebrna rozplynęła wokół, a z tej topieli wynurzać się powoli zaczęły zębate szczyty, ostre igły, długie grzbiety nasiekane i spuściste garby dachów.

Jako prawda uznane i dlatego natrętne, co dnia się narzucające panowanie złudy pocznie się niebawem.

Chociaż kto wie... nie powiedziano wyraźnie, po czym to poznamy ów świt inny, upragniony.

Ostatnie momenty skupienia w ciszy i bezkształcie, kiedy dusza nie rwie się jeszcze w stu sprzecznych kierunkach.

Słyszę pacierz poranny obłoków poważnie sunących, ledwo zarysowanych na niebie.

Dzwonnik czeka z ptakiem zaśnionym na ramieniu.

Bóg-Orzeł postłuszył oddech przyspieszony, gorączkowy. Tam w dole pracował człowiek, śpieszył się...

Z wysiłkiem, z napięciem całej woli pracował ów człowiek łopata. Wbijał ją w twarde, kamienisty grunt i wyrzucał w powietrze czarne, rozlatujące się gruzły.

Padały z ciężkim łoskotem, podobnym do westchnienia.

Tak, tak, pomyślał, śpieszy się... a wiedząc, iż mu ulży i sił doda, pytając (bo człekowi pomaga rozmowa o wielkim celu), zagadnął:

– Hej! Jakże tam robota?

Gruzły przestały padać, łopata szczękła⁴² o bruk, a z dołu doszły wyrazy wyrzucone ze zdyszanych piersi:

– Idzie... idzie... bo ja wiem zresztą... Może... gdyby noce dłuższe... gdyby długo, długo pożyć...

– Albo mieć komu zostawić łopate...

– Hm... to trudno... trudno... Wolałbym dożyć...

– Nie bój się! Nie bój! Dożyjesz... myślę, że dożyjesz...

– Tak myślisz... ano to i dobrze...

Znowu rozległo się pośpieszne kopanie. Człowiek pracował, by nagrodzić czas paru sekund na rozmowie zmarnowany... Tętniło o kamienie żelazo, padały z ciężkim postękiem wielkie gruzły ziemi... a nad pracującym coraz to się robiło jaśniej i jaśniej.

– Co on robi? – spytałem wszystkowiedza⁴³ zawieszzonego wysoko.

I usłyszałem werset znany, ach znany... ale zapomniany werset z pieśni *O krzyżowaniu Tęsknoty*.

„I dam im moc wytrwania, iż ze świata ducha uczynią przekop w życie codzienne, a wody niebiańskie spłyną i omyją, i użyżnią je... i pięknym się stanie”.

Zawieszony na skrzydłach wysoko Bóg-Orzeł patrzył na wznoszący się, to znów chylący grzbiet pracującego z wysiłkiem i przytakiwał głową jego ruchom.

⁴² *szczękła* – dziś popr.: *szczęknęła*. [przypis edytorski]

⁴³ *wszystkowiedz* (neol.) – *wszystkowiedzący*. [przypis edytorski]

Конец ознакомительного фрагмента.

Текст предоставлен ООО «ЛитРес».

Прочитайте эту книгу целиком, [купив полную легальную версию](#) на ЛитРес.

Безопасно оплатить книгу можно банковской картой Visa, MasterCard, Maestro, со счета мобильного телефона, с платежного терминала, в салоне МТС или Связной, через PayPal, WebMoney, Яндекс.Деньги, QIWI Кошелек, бонусными картами или другим удобным Вам способом.